

Kula, Marcin

Aparatczycy : (uwagi o książce Krzysztofa Dąbka, PZPR — retrospektywny portret własny, Warszawa 2006, s. 367)

Przegląd Historyczny 98/1, 105-114

2007

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

D Y S K U S J E

MARCIN KULA
Uniwersytet Warszawski
Instytut Historyczny

Aparatczycy

(uwagi o książce Krzysztofa Dąbka, *PZPR — retrospektywny portret własny*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2006, s. 367)

Książka Krzysztofa Dąbka traktuje o stosunkach w aparacie PZPR i faktycznych zasadach jego funkcjonowania w latach 1956–1980. Oparta jest na wywiadach z „nimi”. Jest to praca ogromnie ważna dla historyków, gdyż autor — nie będąc historykiem — traktuje w niej o przedmiocie zainteresowań wielu z nas, a zarazem stosuje narzędzie, którym my, niestety, prawie się nie posługujemy. Jest więc dla nas ciekawe, jak przedstawia się przedmiot naszej refleksji zbadany inną metodą.

Sądzę, że przyszłość nauki leży w łączeniu metod, a dzisiejsze podziały w humanistyce albo będą musiały paść, albo też powstaną coraz liczniejsze dyscypliny, sytuujące się na pograniczach. Nie jest wszakże wykluczone, że czy to ze względów czasowych, czy ze względu na stopień trudności stosowania dzisiejszych technik badawczych, poszukiwania będą nadal prowadzone w ramach tradycyjnych dyscyplin, a praca syntetyzująca będzie następować na późniejszym etapie. W każdym razie sądzę, że historycy zdecydowanie powinni zapoznać się z pracą Dąbka.

*

Do akt archiwalnych autor sięgnął raczej na etapie przygotowywania się do wywiadów. Jako historycy możemy tego żałować. Jest prawdą, że źródła aktowe w mniejszym stopniu niż rozmowy mogą odzwierciedlić faktyczne sposoby działania aparatu partyjnego i stosunki w nim panujące. Nie jest jednak tak, ażeby nic w aktach nie można było znaleźć z zakresu rozpatrywanego zagadnienia — nie mówiąc już o dziennikach, wspomnieniach, czy ewentualnych spuściznach prywatnych. Przypuszczam, że wiele dałoby się znaleźć np. w aktach Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej bądź (i) w aktach komisji wojewódzkich. Także w protokołach różnych posiedzeń, czy też w notatkach sporządzanych dla różnych sekretarzy, w listach funkcjonariuszy do sekretarzy, w końcu w materiałach SB.

Jest też oczywistością, że wywiad można przeprowadzić jedynie z żyjącymi, a więc oparte na nim badanie ma wyraźne ograniczenia czasowe. Tymczasem problem analizowany przez autora jest ciekawy dla całej historii PRL.

Mimo to, i zapewne wbrew opinii wielu kolegów–historyków, nie mam autorowi za złe braku sięgnięcia do materiałów aktowych. Dzięki jego spojrzeniu przez mikroskop inny, niż najczęściej czynią to historycy, otrzymaliśmy obraz fragmentu rzeczywistości dotychczas przez nas nie przebadanego — i to jest najważniejsze.

Bardziej niepokoi mnie nikłe wykorzystanie literatury historycznej. Nie ma w pracy śladów wykorzystania niejednego z istniejących studiów o PZPR¹. W literaturze o kryzysach, jakie miały miejsce w dziejach PRL, pominięto nawet podstawowe prace². Doceńnam ustalenia Jacka Tarkowskiego, ale chętnie widziałbym wykorzystanie pracy Antoniego Mączaka o klientelizmie³. Chętnie widziałbym w końcu refleksję nad próbami — choć, jak wspomniałem, ograniczonymi — wykorzystania metody wywiadów z uczestnikami wydarzeń, podjętymi przez historyków⁴.

*

Drugie zagadnienie, które jest dyskusyjne z punktu widzenia historyka, to kwestia ukrycia nazwisk respondentów. Rozumiem tego przyczynę. Trudno było działać inaczej, skoro niektórzy z nich po prostu zastrzegli sobie anonimowość. Rozumiem, że eliminacja nazwisk specjalnie nie przeszkadza autorowi, gdyż tworzy coś na kształt zbiorowego portretu społeczności aparatczyków. Interesuje go antropologia postaw, zachowań i sposobów działania tego środowiska, a także ramy narzucone mu w działaniu zewnętrznie, przed wszystkim przez ideologię. Celem badania jest poznanie mechanizmu, a nie poznanie działań konkretnych ludzi. Podzielam takie podejście. Mnie też bardziej interesuje mechanizm niż konkret. Najchętniej w ogóle pisałbym historię bez nazwisk. Kłopot tkwi jednak w tym, że jest to niemożliwe. Nawet dla poznania mechanizmu jest ważne np. to, jakiego szczebla osoba wypowiada daną myśl. Respondenci autora nie są przysłowiowymi „Kowalskimi”. Nawet więc w ramach założonego celu nie jest całkiem obojętnej, kto z nich jak widzi rozważaną sprawę. Eliminując nazwiska, autor zmniejszył użyteczność swojej pracy dla wielu historyków, zwłaszcza reprezentujących mniej socjologiczne podejście. Jeśli nie miał innego wyjścia, to pozostaje jedynie powiedzieć „trudno”.

*

Trzecie zagadnienie, na które historycy są wrażliwi, a którego autor jest oczywiście świadomy, to stopień wiarygodności wywiadów. Sam termin „wiarygodność” nie jest,

¹ Mam na myśli opracowania następujących autorów: Beata Bińko, Włodzimierz Borodziej, Błażej Brzostek, Benon Dymek, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Stanisław Jankowiak, Mariusz Jastrząb, Dariusz Jarosz, Stefan Meller, Andrzej Paczkowski (O systemie nomenklatury!), Artur Pasko, Dariusz Stola, Renata Tulli, Maciej Tymiański, Frédéric Zalewski. Trudno mi mówić o pracach, których powstanie sam spowodowałem, ale domniemyuję, że autor może by coś wyniósł ze spojrzenia na zbiorowe studia o Komitecie Wojewódzkim PZPR w Gdańsku, o Pafawagu, czy o wysyłaniu przez KC inspektorów w teren, nawet jeśli akurat te formalnie dotyczą okresu wcześniejszego niż objęty pracą.

² Myślę o pracach Pawła Machcewicza i Dariusza Stoli.

³ A. Mączak, *Nierówna przyjaźń. Układy klientalne w perspektywie historycznej*, Wrocław 2003.

⁴ J. Eisler, *Refleksje nad wykorzystaniem relacji jako źródła w badaniu historii PRL*, [w:] *Polska 1944/45–1989. Studia i materiały*, t. VI, Warszawa 2004, s. 49–64.

rzecz jasna, w tym przypadku tak jasny, jak by się to mogło wydawać. Autor pisze, że przeprowadzanie rozmów w okresie wzrostu pozycji SLD na scenie politycznej było okolicznością korzystną z punktu widzenia procedury badawczej. Jest wszakże oczywiste — i autor to wie — że odbywanie rozmowy po klęsce ustroju, w który ci ludzie byli uwikłani jako realizatorzy, musiało uwarunkować ich poglądy (co skądinąd mogło zwiększać wartość badawczą opowiadanych przez nich scen i faktów). Jeśli jednak badamy PRL, a nie dzisiejszą mentalność środowiska post-pezetpeerowskiego, to warto ostrożnie podchodzić do obrazu, w którym nie pojawia się ideologiczna frazeologia w wypowiedziach, respondenci prawie jednolicie wychodzą na Wallenrodów, deklarują, że wspomagali Kościół, nie okazują wobec opozycji niechęci ideologicznej i kładą nacisk na geopolitykę jako czynnik legitymizujący ich działania. Warto pamiętać, jak to Józef Kępa niedawno opublikował nawet książeczkę o własnych zasługach w... odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie i zamieścił w niej zdjęcia, zaświadczone jak owe zasługi cenil sam Stanisław Lorentz⁵. Inaczej mówiąc: osoba, która przez dziesięciolecia była aktywna w aparacie na najwyższych stanowiskach, dziś nie znalazła innej pozycji do chwały niż zasługa — upraszczając — patriotyczna! Nie jest jednak powiedziane, że taka była rzeczywistość jego motywacja w dawniejszych czasach.

Dzisiejsza postawa może oczywiście adekwatnie zaświadczać dawniejszą, zwłaszcza w odniesieniu do późnego pokolenia działaczy — ale to jeszcze należałoby sprawdzić. Warto też pamiętać, że komunizm w Polsce był ustrojem na tyle specyficznym, iż od 1956 r. było w nim relatywnie mało strachu. Środowisko tutejszych działaczy nie było też, wbrew pozorom, całkiem zamknięte. W związku z tym nawet łajdacy mogą nieraz wskazywać ludzi, którym pomogli — bowiem to byli ich znajomi, pragnęli pokazać własną moc, lub na swoim podwórku chcieli prowadzić sprawy możliwie rozsądnie itp. Teraz mają więc we własnym przekonaniu uczciwe argumenty, że chcieli dobrze.

Robi wrażenie, jak często, w wydanych niedawno relacjach historyków o kontaktach z cenzurą w czasach PRL⁶, wraca wątek, że ktoś z partyjnego establishmentu pomógł autorowi złamać opory kontrolerów. Nawiasem mówiąc, sam spotkałem kiedyś taką cenzorkę, która chwaliła mi się, ilu to pisarzom pomogła. Wierzę jej. Nie należy jednak zapominać ani o tym, ile utworów okaleczyła, ani o jej funkcjonowaniu (z własnej woli!) w ramach głęboko szkodliwej instytucji.

Gdy mowa o wiarygodności respondentów, trudno mi też nie wyrazić domniemania, że autor miał większe szanse rozmawiać z ludźmi już swego czasu mającymi wątpliwości co do funkcjonowania ustroju, niż z byłymi troglodytami. Chętnie dowiedziałbym się czegoś o towarzyszach, którzy nie zgodzili się odbyć rozmów. Zdaję sobie jednak sprawę, że akurat to jest postulatem prawie nierealnym — właśnie z uwagi na to, że odmówili rozmów.

*

Autor bada — co dla mnie bardzo cenne — faktyczne, a nie teoretyczne mechanizmy funkcjonowania systemu. Ważne, że bada je w dniu powszednim. Fragmenty pracy poświęcone kryzysom są zresztą mniej ciekawe, bowiem w odniesieniu do tych momentów

⁵ J. Kępa, *Emocje wokół odbudowy Zamku Królewskiego*, Warszawa 2001.

⁶ *Cenzura w PRL. Relacje historyków*, oprac. Z. R o m e k, Warszawa 2000.

respondenci bardziej grają, zaś sprawy są nieraz dramatyczne, a więc mniej neutralne, a zatem trudniej swobodnie o nich rozmawiać.

Konkretnie autor bada układy panujące w „partii wewnętrznej” (Orwell). Nie wie zapewne, że realizuje w ten sposób postulat Oskara L a n g e g o, który w dobie przełomu październikowego mówił, iż najbardziej jest nam potrzebna socjologia partii. Z czasem, choć oczywiście nie bezpośrednio po 1956 r., były podejmowane próby badań socjologicznych odnoszących się do PZPR. Zapewne niewiele z nich dziś ostanie się, aczkolwiek nie wykluczam, że pewne dane, zwłaszcza z raportów niepublikowanych, mogą funkcjonować jako materiał dla współczesnego badacza. Jest jednak oczywiste, że obraz aparatu, jaki zarysował autor, nie mógłby powstać pod piórem nawet najbardziej krytycznego, ale zarazem zaufanego w oczach władz i cieszącego się relatywną swobodą badacza w czasach PRL. Czy obraz zarysowany przez autora jest nowy?

Odpowiedź na to pytanie jest ambiwalentna: tak i nie. Obrazu wewnętrznych stosunków w aparacie nie ma dotychczas w literaturze — co już samo w sobie broni autora. Domyślam się, że zarysowany obraz jest nowy dla niego i dla jego pokolenia. Może on być nowy dla ludzi swego czasu stojących dalej od centrum władzy niż inteligencja twórcza lub (i) pracownicy naukowci. Podejrzewam, że wielu spośród ludzi dalej stojących po prostu nie interesowało się wewnętrznymi stosunkami w PZPR, wszelką władzę uważając za marną kreaturę i zaspokajając się taką diagnozą.

Dla mnie ten obraz nie jest jednakowoż całkiem nowy — i to mimo, że nigdy nie należałem do PZPR. Myślę, że z grubsza biorąc właśnie taki obraz „partii wewnętrznej” żywiło moje (akademickie) środowisko w moim pokoleniu. Tworzyliśmy go sobie na podstawie potocznej obserwacji wielu aparatczyków, także na podstawie skutków ich działań oraz dochodzących do nas ech. Nawet jeśli Biuro Polityczne i SB były w dużym stopniu „czarnymi skrzynkami”, to ten cały aparat, zwłaszcza w czasach gierkowskich, nie był już ulepiony z innej niż my gliny; przynajmniej w jakimś stopniu był też przenikalny. Myśmy z grubsza rozumieli język partyjnego rytuału, teoretycznie mający zastosowanie w stosunkach wewnątrzpartyjnych. Oczywiście, nasz obraz był w znacznym stopniu intuicyjny, a więc obraz powstający w wyniku systematycznej refleksji badawczej jest bardziej znaczący. Jest też bardziej plastyczny.

Nasz obraz był najczęściej sumą obserwacji słabo wyartykułowanych i wymienianych jedynie w kręgach ludzi sobie bliskich. Gdyby nie został więc przeanalizowany na piśmie, to zniknąłby wraz z zejściem mojego pokolenia ze sceny — a są to sprawy historycznie ważne. Nie jest jednak dla mnie np. nowością, że faktycznie rządzą „sekretarze sekretarzy” — bowiem to oni informowali władzę. Nie jest dla mnie nowością, że manipulowano tym, co docierało na biurka rządzących. Nie jest nowością, że każdy był czymś klientem. Nie jest nowością to, że argumenty związane z symboliką oraz ideologią były wygodnymi argumentami (i tylko tym) w wewnętrznej walce; także to, że trzeba było trzymać się ideologii dla formy. Nie zaskakuje mnie, że mnóstwo spraw załatwiano się, zwłaszcza w czasach gierkowskich, na zasadzie „wicie–rozumiecie”, a ideowy ogień chyba już nikogo z „nich” nie ożywił.

Wiele spraw w PRL ostatecznie dawało się załatwić — byle nie naruszać ideologii otwarcie. Przecież nawet różne sprawy publiczne tak załatwiano, czego ukoronowaniem było puszczanie oka przez gen. Jaruzelskiego, że wprowadził stan wojenny dla uchronienia nas przed bratnią pomocą, zaś on sam to przecież szlachcic, na dodatek wychowany przez księży marianów.

Dla wielu ludzi mojego pokolenia chyba nie jest nowością, że funkcjonariusze niszczyli się nawzajem przez „podkładanie świni” bądź przez wpuszczanie współpracownika „w maliny”.

*

Występują w recenzowanej pracy oczywiście również rzeczy dla mnie nowe, takie jak np. znaczenie wywodzenia się z poszczególnych organizacji młodzieżowych dla kształtowania się koterii partyjnych; znaczenia grup myśliwskich dla kształtowania się tychże koterii; własne trudności aparaczyków, uwikłanych w wewnętrzne rozgrywki partyjne oraz ich złe samopoczucie na tym tle. Ciekawe, a więc nowe jest dla mnie pokazanie ideologii w mało dotychczas zauważanej przeze mnie roli czynnika modyfikującego rozgrywki personalne i wytłumaczenie mechanizmu takiego jej funkcjonowania (dogmat jedności partii oraz potrzeba współzawodniczenia argumentami zgodnymi z leninizmem tłumili jedne, a wzmacniały inne akcenty rozgrywek).

*

Myślę, że historyk staranniej przyjrzałby się wypowiedziom od strony zawartych w nich, relatywnie drobnych przekłamań rzeczywistości. Gdy respondenci opisują rozmowy pomiędzy członkami aparatu, zawsze wkładają w usta rozmówców słowo „pan”. Jest to zupełnie nierealistyczne. W owych czasach, w tym środowisku używano słów „towarzysz” („towarzyszu”) lub „wy”. Wniosek o zahamowaniu wymiany kadr przez Gomułkę i o powrocie dawnych kadr w krótkim czasie po 1956 r. na mocy decyzji podjętej przez I Sekretarza w obawie przed ZSRR, jest trafny tylko częściowo. Gomułka miał też bliższe powody, by oprzeć się na „wypróbowanym” aparacie.

Co może ważniejsze, nie wystąpiły (lub słabo wystąpiły) w wypowiedziach respondentów pewne sprawy, które, jak mi się zdaje, musiały rzutować na stosunki w aparacie oraz na mechanizmy jego działania. Ich pomijanie mogło wynikać z architektury kwestionariusza, ale mogło też być uwarunkowane głębiej. W małym np. stopniu występuje w obrazie Moskwa jako źródło siły poszczególnych działaczy (źródło widoczne, bądź takie, którego istnienia można się domyślać, bądź w końcu ważne jako istniejące potencjalnie). Dziś respondenci wskazują na własną chęć uniezależnienia się od Moskwy — co nieraz było z pewnością prawdą, ale nie zawsze. Wielu z nich budowało jednak swą siłę na związku z bratnią stolicą. Było to z pewnością zjawisko bardzo zróżnicowane. Moskwa mogła kogoś popierać ze względu na jego życiorys, ze względu na postawę zajmowaną w rozlicznych sprawach, czy też ze względu na funkcjonowanie w ramach sektorów strukturalnie powiązanych z ZSRR i trwałe służbowe kontakty z różnymi służbami radzieckimi (SB, wojsko). Mało wiemy o tych sprawach i nie mamy wielkich szans na poszerzenie naszej wiedzy. Nie dziwi, że respondenci mało mówią na ten temat. Warto mieć zresztą na uwadze, że sama KPZR nie musiała być jednolita, a zatem różne jej grupy mogły popierać w Polsce różnych towarzyszy. Warto też mieć na uwadze, że sami polscy towarzysze chyba nieraz cierpieli na swoistą schizofrenię: ani przez chwilę nie zapominali, że w skali generalnej, a czasem nawet indywidualnej, istnieją dzięki Moskwie — ale z drugiej cierpieli

nad tym uzależnieniem i nieraz prowadzili grę na pograniczu lojalności (o czym teraz chętnie mówią).

PZPR jest analizowana przez autora w jej własnym kręgu. Tymczasem siła poszczególnych funkcjonariuszy nieraz zależała od ich powiązania z innymi instytucjami i kręgami społecznymi, które, choć jak wszystko kontrolowane przez PZPR, zachowywały pewną wagę samoistną (MSW, a w jego ramach SB; wojsko, ludzie kultury, ludzie nauki). Prawda, że z tekstu wynika, iż np. gen. Moczar musiał liczyć się z gen. Jaruzelskim z uwagi na siłę wojska. Sprawa była jednak szersza i zasługuje na pogłębienie analizy. Towarzysze z przemysłu ciężkiego i z wielkich zakładów przemysłowych byli zawsze bardzo ważni, a z pewnością ważniejsi niż ci, którzy byli zakorzenieni w środowisku tkaczek łódzkich. Autor zresztą wspomina, jak to aparat wyższego szczebla musiał się liczyć z komitetem zakładowym np. Nowej Huty, gdyż ten mógł „narozrabiać”. Pokazuje też manipulacje podejmowane w ramach aparatu przy wykorzystaniu SB oraz informacji napływających tym kanałem.

Autor ciekawie pokazuje rzucające się w oczy w wywiadach uwarunkowanie stosunków w aparacie partyjnym, a przynajmniej uwarunkowanie ekspresji owych stosunków, przez płynącą z ideologii ramę — nakaz jedności (prowadzący do ukrywania frakcji faktycznie istniejących wobec niemożności ich wyeliminowania). Nie było to wszakże jedyne ideologiczne uwarunkowanie stosunków w aparacie. Inną taką ramą był np. wymóg wysokiej stopy inwestycji oraz wymóg przewagi inwestycji działu I (produkcja dóbr produkcyjnych) nad inwestycjami w dziale II (produkcja dóbr służących do wytwarzania artykułów konsumpcyjnych). Wobec tego dogmatu było więc oczywiste, że każdy sekretarz po pierwsze musi inwestować, a po drugie, dla własnej chwały, musi inwestować, dajmy na to, w metalurgię. Autor zresztą pokazuje jak to Gierek chciał sobie zbudować piramidę w postaci Huty Katowice.

Jeszcze inną ramą ekspresji stosunków w aparacie była ogólna zgoda na planowość gospodarki. Prawda, że ten wymóg może być również argumentem za tym, iż faktycznie ideologia była nieraz obchodzona. Przeciż, co autor pokazuje, ta nominalnie planowa gospodarka często funkcjonowała bezplanowo.

*

Niektóre sprawy w socjalizmie zdają mi się bardziej skomplikowane niż to przedstawia autor. Ma on oczywiście rację, że np. totalitaryzm atomizuje jednostki. Jednocześnie komunistyczny totalitaryzm kładł nacisk na wspólnotę, która w niektórych koncepcjach, jako socjalistyczna wspólnota, stawała się nominalną inkarnacją narodu. W późniejszych fazach ustroju kładziono nacisk po prostu na jedność narodu. Trudno *a priori* powiedzieć, że takie nastawienie nigdy i nigdzie nie przynosiło rezultatów. Nawiasem mówiąc, faszyzm też w dużym stopniu atomizował jednostki, a trudno powiedzieć, iżby hasło *ein Volk, ein Führer...* nie było skuteczne. Skądinąd w komunizmie atomizacji jednostek towarzyszyła przeciwna reakcja — zwieranie się kręgów rodzinnych, towarzyskich i religijnych.

Sprawy atomizacji (wspólnotowości) nie powinno się oddzielać od stopnia modernizacji terenu. W Rosji tworzenie „kołchoźnych” mieszkań i zbiorowych łaźni służyło zrazem i atomizacji ludzi, i było ułatwione przez ich niezmodernizowaną wspólnotowość — a kto wie, czy ostatecznie w jakimś sensie nie podtrzymało wspólnotowości.

Myszę, że dla wszelkich rozważań o PZPR, w tym także dla kwestii stosunków w aparacie partyjnym, należałoby przyrzeć się fundamentalnej antynomii pomiędzy występującym czasem traktowaniem partii jako organizacji kadrowej, a czasem (bądź nawet równocześnie) jako masowej. Partia masowa musiała stawać się emanacją społeczeństwa w większym stopniu niż kadrowa. Dotyczyło to także aparatu. Autor widzi, że granica aparatu nie była ostra.

Z punktu widzenia pewnego roztopiania się PZPR i jej aparatu w społeczeństwie może szkoda, że autor nie doprowadził analizy do czasu bezpośrednio po upadku komunizmu. Dąbek mówi, że respondenci zaakceptowali zmiany po 1989 r. — nawet jeśli z pewnymi niuansami. No właśnie. To, jak ów aparat ustąpił pola, bardzo wiele mówi o nim samym. W późniejszym okresie komunizmu nie był już on mocną ostoją ustroju.

Generalnie chętnie widziałbym przyjrzenie się, w jakim stopniu aparat partyjny był izolowany od reszty społeczeństwa. Podejrzewam, że w Polsce był izolowany mniej niż np. w ZSRR — nawet jeśli nikły stopień przesączenia się informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego zaświadczałby co innego. Przyjrzałbym się zdarzającemu się dobrowolnemu opuszczaniu aparatu przez towarzyszy, „wyprowadzaniu” (termin partyjny) towarzyszy z aparatu, rozmiarom rekrutacji do aparatu ludzi już ukształtowanych, a nie tylko młodzieży. Nie idzie tu jedynie o przesuwanie się kadry pomiędzy aparatem partyjnym a państwowym, które mogło mieć charakter bardzo różny. Mogło być działaniem karnym, ale mogło być związane ze stażem zawodowym, z zabezpieczaniem ważnego odcinka życia państwowego przez towarzyszy, czy ze stworzeniem sytuacji, w której zasłużony towarzysz mógł sobie dorobić na dobrze płatnej placówce. Chętnie dowiedziałbym się, w jakim stopniu aparat partyjny był kanałem awansu zawodowego lub (i) społecznego w poszczególnych środowiskach i dziedzinach życia. Oczywiście wiele z tych spraw pojawia się w recenzowanej pracy. Myszę jednak, że akurat dla naświetlenia ich nie da się ograniczyć do wywiadów. Potrzebna jest statystyka oraz studium założonej i realizowanej polityki w rozważanych zakresach.

Warto by pogłębić pojawiającą się w pracy kwestię funkcjonowania aparatu nie na drodze wydawania wyraźnych poleceń, lecz przy użyciu sygnałów i poprzez domniemanie zapotrzebowania na określone działania. Tak samo zresztą działo się w hitleryzmie. W socjalizmie nie mówiono o mordowaniu kułaków, lecz o likwidacji kułactwa jako klasy. Hitler, jak wszystko wskazuje, nie podpisał rozkazu zamordowania Żydów, a mówił też „tylko” o „ostatecznym rozwiązaniu”.

Uchwały i tematyczne plena w socjalizmie miały znaczenie sygnału, że coś jest ważne i tym czymś trzeba się zająć. Sygnał przekazany w ten sposób działał do chwili nadania następnego. Towarzysze wierzyli w słowa (jak mówi autor), ponieważ, jako kontrolowane, były one mocniejszym sygnałem niż słowa używane w mowie w innych sytuacjach.

Byłoby warto prześledzić okoliczności ułatwiające aparatowi wykonywanie władzy. Niektóre z nich są oczywiste, jako wynikające z kardynalnych zasad ustroju. Bywały jednak również okoliczności mniej oczywiste (centralizacja organizacji społecznych, dbanie o atomizowanie społeczeństwa, dbanie o klucz partyjny w każdej organizacji oraz instytucji, niedobory rynkowe, także powszechne przeświadczenie, że w Polsce po 1956 r. jest relatywnie dobrze, a w każdej chwili może być gorzej...). Biały Dom nie ma najpewniej ani potrzeby, ani szans na manipulowanie kadrami przez rozdawnictwo talonów samochodowych, bądź talonów na benzynę jak miał establishment PZPR.

Warto by w końcu przeprowadzić trochę badań porównawczych. Różne dworskie komeraże występują przecież nawet w Watykanie, przy czym porównanie to wykorzystuję nie przypadkowo, lecz z uwagi na religiopodobny charakter komunizmu. Takie komeraże występują również w krajach demokratycznych. Wystarczy poczytać niedawno wydane wspomnienia Richarda P i p e s a, który do środowiska Białego Domu przyszedł wyraźnie z zewnątrz, a więc miał wyostrzone spojrzenie, by zobaczyć, że również tam odbywa się wyścig o dostęp do ucha szefa⁷. Najciekawsze byłyby jednak oczywiście porównania z innymi partiami komunistycznymi — i to niezależnie od tego, co by z tych porównań wyszło. W końcu to przede wszystkim dla Kremla były typowe rozgrywki w stylu bizantyjskim — tam może wzmocnione tradycją carską. W końcu utracysz Gierek i jego dwór jakoś szli w parze z Breżniewem, o którym mówiono, że ma złote klamki w łazience (w dowcipie jego matka rzekomo nawet bała się co z tym się stanie, gdy przyjdą „czerwoni” i wszystko zabiorą).

*

Jakie ogólne wnioski na temat PZPR nasuwają się z recenzowanej pracy? Jeśli oczywiście badani nie przedstawiają się *ex post* w lepszym świetle niż to, jakim promieniowali w PRL, to byli oni słabą ostoją komunizmu. Stwierdzając to, dotykam fundamentalnej sprawy ewolucji rekrutacji oraz (co powiązane) mentalności aparatu partyjnego. Autor dostrzega to zagadnienie — ale zasługuje ono na dalsze zgłębianie. Mówiąc symbolicznie: wszystko wskazuje na to, że Jakub Berman, który jeszcze w przededniu śmierci deklarował Teresie To r a n i s k i e j wiarę w nominalne cele ustroju, był mocniejszym obrońcą reżimu niż pragmatyk Jarema Maciszewski, pasjonujący się przebiegiem kampanii wrześniowej oraz czyniący własnego *cheval de bataille* ze sprawy Katynia, którą rozumiał tak, jak większość narodu. Nie zapomnę, gdy pod koniec komunizmu jakiś inny funkcjonariusz partyjny zgłosił pod moim adresem uwagę, że historycy polscy nie dość, widać, pracowali nad Katyniem, skoro nie ma opracowań na ten temat. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się w tym momencie, czy winienem go ugryźć, czy uznać za pomyłonego i w związku z tym nieodpowiedzialnego za słowa i czyny. Nie dziwi, że tacy ludzie znakomicie wkomponowali się w nową rzeczywistość i dziś deklarują autorowi swój rzekomo dawny (a po części najpewniej prawdziwie dawny) krytycyzm wobec PRL — nawet jeśli jest on zniuansowany oraz nawet jeśli bywa przeciwważony krytycyzmem wobec współczesności.

Obraz PZPR słabej, w której nawet członkowie aparatu są w jakimś stopniu związani z Kościołem katolickim, nie zaskakuje mnie. W moim przekonaniu nawet dawniej, jeszcze przed fazą gierkowską, ta partia była strukturą silną, ale wypełnioną piaskiem — co czyniło ją faktycznie słabą. Skąd jednak płynęła zatem siła tego ustroju? To jest wielkie pytanie. Najprostsza odpowiedź (że płynęła z pomocy Wielkiego Brata) moim zdaniem wszystkiego nie wyjaśnia. Jeśli wszystkiego nie wyjaśnia, to pozostaje prowadzenie głębszej refleksji.

W zarysowanym obrazie jedyną naprawdę ważną sprawą dla respondentów, a więc, w tym ujęciu, dla funkcjonariuszy aparatu, którego respondenci stanowią *pars pro toto*, była kwestia „kto kogo”. To dużo mówi o rzeczywistej roli ideologii w PZPR, a zapewne także w KPZR. Jedyną istotną polityką w tym gronie była polityka kadrowa. W tym rzekomo

⁷ R. Pipes, *Żyłem. Wspomnienia niezależnego*, Warszawa 2004.

naukowym systemie tylko personalia i podgryzki personalne były ważne. Także związki osobiste były przemożnie ważne — na dobre i na złe. Cały system był pomyślany tak, by towarzysze nie mieli twarzy dla szerszej publiczności, a więc nawet w polityce kadrowej, którą myśmy widzieli, liczyło się nie to, co kto reprezentuje, ale „kto kogo?” Pytanie jednak, czy właśnie wewnątrz aparatu nie pojawiała się jakaś wiedza, czego można się po kim spodziewać.

W omawianej pracy PZPR rysuje się jako swoiste Bizancjum lub, prościej, jako mafia — choć respondenci przecież nie chcą jej tak przedstawiać. Myśmy mówili o aparacie rządzącym „biurokracja”. Mawiało się nawet „partyjna biurokracja”. Tymczasem to, z czym mieliśmy do czynienia, sytuowało się niesłychanie daleko od weberowskiego modelu biurokracji. Opisane relacje są przede wszystkim związkami zasadzającymi się na lojalności o charakterze ściśle personalnym. Ważna jest silna osobowość, długość stażu, umiejętność gry, dostęp do ważnego ucha. Ważny jest stosunek patrona i klienta. Ważny jest zaufany towarzysz. Związki ludzi aparatu przenikają się z towarzyskimi (sam bym powiedział ostrzej: z kumplowskimi). Związki między towarzyszami są niemal familijne. Śmiejące nas całowania, występujące nie tylko w stosunkach z „braćmi”, miały charakter zaznaczania owych więzi.

W odmalowanym przez autora systemie walka rywali rysuje się jako podstawowa. Nawet załatwianie czegoś istotnego dla całego społeczeństwa lub jakichś jego grup pośrednio umacniało jednych towarzyszy w aparacie, a osłabiało drugich — i to było przede wszystkim ważne. Z opozycją trzeba było walczyć — by inni nie wygrali. Trzeba było stworzyć domniemanie, że się walczy. Nie sprawia jednak wrażenia, by była to walka o utrzymanie socjalizmu. Jeśli zaufać zarysowanemu obrazowi, to była walka o utrzymanie siebie na powierzchni — co ostatecznie udało się załatwić poprzez łagodne lądowanie pod koniec komunizmu.

Jeśli jednak PZPR działała na podobieństwo mafii, to można zapytać, czy „wyprowadzenie z aparatu” było dla człowieka klęską bezapelacyjną i wszechogarniającą? Chyba nie do końca, a poza wypadkami pokazowego karania w nielicznych sprawach, partia na ogół dbała o miękkie lądowanie nawet tych ludzi, którzy ją kompromitowali. To też da się jednak wytłumaczyć przez odwołanie do związków kumplowskich. Prawda, że były tego granice — jak w wewnętrznych walkach w ramach mafii. Już nie mówiąc o wyrzucaniu do piwnic NKWD wcześniej w stalinizmie, także w polskim 1968 r. trudno mówić o zapewnieniu wyrzucanym „miękkiego lądowania”.

Przedstawiona partia chyba w niczym nie przypominała „leninowskiej partii »nowego typu«”. Pytanie tylko, czy ta leninowska faktycznie nie była przynajmniej w jakimś stopniu też mafijna. W każdym razie trzeba by rzecz przebadać w zrelatywizowaniu do poszczególnych okresów historycznych. Autor jest słusznie świadomy, że w czasach przezeń badanych funkcjonariusze nie donosili już na siebie w tej formie i z taką intensywnością jak dawniej oraz że, co paralelne, nie obawiali się już tak bardzo zaniechania doniesienia w wypadku, gdy powinni byli to uczynić.

Wielkim problemem historycznym jest to, czy (lub: na ile) komunizm modernizował społeczeństwo — czy też działał w kierunku konserwatywnym? Nie wiem, w jakim stopniu autor zdaje sobie sprawę, że przez pokazanie struktury faktycznie mafijnej, zabiera głos także w tej dyskusji. Bardzo ciekawe jest użycie przezeń terminu *Gemeinschaft* — przez przeciwstawienie *Gesellschaft*, jak u Tönnies a. Świetny obrazek, w którym sekretarz Krakowa godzi się przyjąć kolejną delegację zagraniczną w zamian za dostarczenie miastu

dwóch dodatkowych ton masła, zaświadcza małe zmodernizowanie tego całego systemu, wręcz nasuwa na myśl — nie nowy zresztą — obraz władz czasu podziałów dzielnicowych. Przeciwstawia się temu jednak często widoczny w recenzowanej pracy (a także we wspomnieniach oraz w badaniach historycznych) aideologiczny pragmatyzm. On pasowałby raczej do społeczeństwa zmodernizowanego.

*

Nawet jeśli z naszych — jako historyków — badań wyłania się obraz niekoniecznie identyczny z obrazem zarysowanym przez Dąbka, archiwaliów nam zaś drażniąco brakuje w jego badaniu, to warto przeczytać tę pracę. Zamiast apriorycznie krytykować, warto wejść z autorem w dialog — zwłaszcza nad tymi elementami obrazu, do których nie doszlibyśmy posługując się naszymi metodami.